

P.6488

MKD 91486



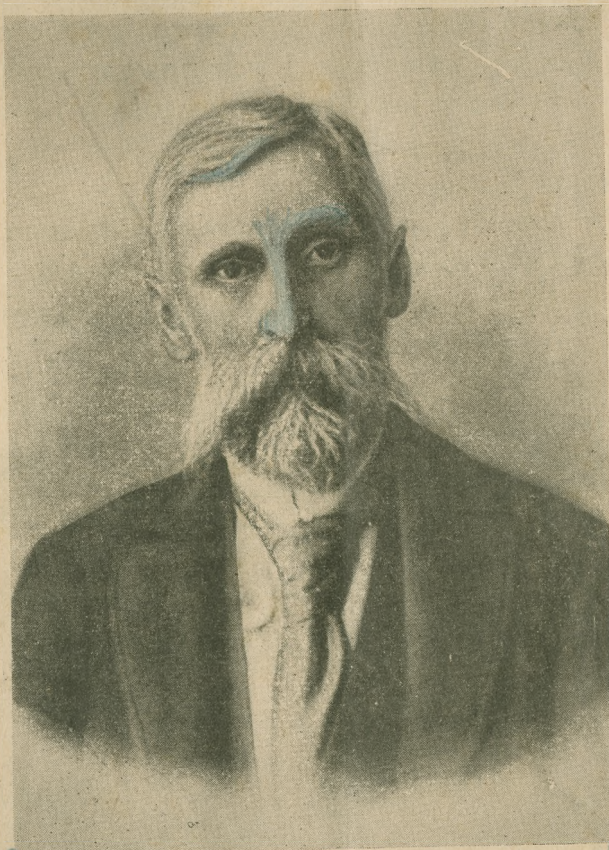
PROMIEN SZKOLNY

DWUTYGODNIK
WYDAWANY
PRZEZ UCZNIÓW
GIMNAZJUM
T. CZACKIEGO.

Nr 1.

25 września 1938 r.

Rok VIII.



ADAM ASNYK

ur. 11.IX.1838 — um. 2.VIII.1897 r.

* * *

Powróciliśmy do murów naszej szkoły!

Czekają na nas szkolne sprawy i troski, codzienna praca, konieczne przykrości i radości. Rozpoczynamy już tak rok szkolny po raz drugi, czwarty, siódmy, ósmy może.

«Promień Szkolny» jednakowo serdecznie wita nas wszystkich, koledzy! I tych nowoprzybyłych, dla których nowością jest życie, obyczaje i tradycje naszej szkoły i tych kolegów najstarszych, dla których dni szkolne już są policzone.

«Promień Szkolny» wita serdecznie pana Dyrektora, panów Wychowawców i panów Profesorów, przychylne ustosunkowanie się których dopomogło nieraz w trudnych i niepewnych chwilach egzystencji pisemka.

«Promień Szkolny» spodziewa się od nas wszystkich jednego — współpracy.

Radością jest dla nas mieć własne pisemko; radością będzie dla «Promienia», gdy zadźwięczą w nim odgłosy ze wszystkich klas i stworzą tętniący organ, odzwierciadlający nasze życie szkolne, nasze pragnienia i dążenia.

«Promień Szkolny» ma nadzieję, że liczba współpracowników — kolegów będzie rosła z roku na rok.

REDAKCJA.

Z WAKACJI

Hej, wy pola! hej, wy łąny!
Wyście duszę mi porwały,
Że przez rowy i parkany
Pędzę ku wam oniemiały.

Później w trawie się położę,
A wzrok utkwię w chmurkę białą.
Złotą falą złote morze
Będzie szumiąc kołysało.

A nade mną jakieś drzewo:
Brzoza, grusza, (wolę gruszę)
Będzie liści swych ulewą
Łała natchnień pełno w duszę.

A gdy wrócę tam, do miasta
W cztery domu ściany skromne,
Tak tęsknota będzie wzrastać,
Że was nigdy nie zapomnę.

Hej, wy pola! hej, wy łąny!
Ja rozewrę serca wrota,
Wy nalejcie wspomnień złotą,
By był skarb niewyczerpany.

Będę żył nim potem w mieście,
W późną jesień podczas zimy,
A gdy lato przyjdzie wreszcie,
To się znowu zobaczymy.

Andrzej Trzebiński.

S P Ł Y W

Trasa Ignalino — Wilno nie jest długa. Jednak ta przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów wstęga wody kryje mnóstwo uroku i niespodzianek i cudownie nadaje się do spływu kajakiem. Te cztery dni na wodzie mijają niepokojąco szybko. A jednocześnie nic nie działa tak kojąco, jak beztroska włóczęga wodna, gdy nie dba się o jutro, a żyje się szerokim oddechem jezior, upalnym tchnieniem słońca, rozkoszą chłodnej kąpieli, pracą mięśni.

Wyłynęliśmy wczesnym rankiem. Niebo przejrzyste. Na jeziorze pustka i cisza. Woda przezroczysta — o odcieniu ciemno błękitnym przy brzegach — jaśniejąca ku środkowi. Wyssokie pnie złocistych sosn i pochylone ciemniejące kontury przybrzeżnych olch przyglądają się w szklistej tafli wód. Pracujemy długimi, równomiernymi pociągnięciami. Płyniemy w kierunku odległego cypla (za którym będzie skręt), po rozbłysłej nagle migotliwej powierzchni. To wschodzące słońce sypnęło poprzez wierzchołki drzew kaskadę swych promieni. Płyniemy.

Za zakrętem podnosi się wiatr. Jest silny i ożywczy. Kołyszże się kajak.

Mijają godziny w pełni słońca, wśród szmeru fal uderzających o burty.

W południe wyciągamy nasz składak na piaszczysty cypel wrzynający się w jezioro. Kąpiel oświeża znakomicie i dodaje apetytu. Ze zdwojoną energią pochłaniamy nasz wycieczkowy obiad i rozciągamy się na gorącym piasku. Długi czas dumania i wpatrywania się w jaskrawy błękit nieba. Od blasku mrużą się oczy, a ciało przebiega błogi, gorący dreszcz. A potem «gumiak» znów zostaje zepchnięty do wody. Teraz praca jest mniej intensywna.

Rozleniwieni długim plażowaniem, «machinalnie» i prawie «od niechcenia» wypatrujemy nowych dogodnych miejsc do kąpieli. Zdarza się to tak często, że staje się naszym nałogiem (rozwijającym się w miarę trwania spływu).

Bogactwem widoków, barw, odcieni olśniewa nas zachód słońca. Cisza i spokój pochłaniają przestwór tak, jak rano. Po niebie płyną obłoki, na które, hen, daleko, zachodzące słońce rzuca czerwony odbłask. Woda jest jeszcze bardziej błękitna, a złoty odcień sosn ma piękność niepojętą.

Oderwijmy się na chwilę od tych pięknych widoków, których oglądaniem zajmujemy się od rana. Spójrzmy na coś bar-

dziej materialnego dzięki czemu tę właśnie wycieczkę możemy odbywać — spójrzmy na nasz kajak.

Wabi się on «łazik», a to ze względu na swe liczne włóczęgi, które pozostawiły na nim piętno w formie długich, zielonych łat poniżej burt. Nie będę przytaczał całej masy nazw jezior, po których pływał. Jest to wprost niemożliwe. Jego spód popstrzony łatami mówi o wiele więcej. Jest to stary, nierozłączny prawie w łecie towarzysz, pewny na fali, «niewywrotny», jak inne składaki i bojący się rzek kamienistych. Poza tym ma on cechy niezaprzeczalnie indywidualne, odróżniające go od innych «gumiaków». Niestety, pływa równie ciężko jak one.

Wypływamy na Żejmianę. Rzeczka zrazu jest wąska i nie ma ostrego prądu. Dopływy, które do niej dążą z zachodu, zasilą później jej wody i uczynią bardziej wartką, głębszą — i bardziej piękną.

Żejmiana to rzeka zakrętów; jest ich setki — od samych Kottynian do Wilii.

Często jedziemy w kierunku wprost przeciwnym. Zamiast na południe — na północ.

Słońce najrzadziej jest z prawej strony, jak być «powinno» — bywa rozmaicie — z tyłu, z lewej strony, potem z przodu. Niedługo będzie tak wędrował księżyc. Mimo wszystko płynie się tu szybciej niż po jeziorach. I jazda dostarcza może więcej przyjemności. Za każdym zakrętem odkrywa się widok nowy, chociaż charakter jego pozostaje wciąż podobny; poprzez nisko nad wodą zwisające gałęzie olch bieleje piasek wzgórz, czy zielenieją łąki.

Zaczyna śczyć się szary zmierzch. Od strony łąk podnoszą się mleczne, siwe opary. Staje się mniej przyjemnie, a po parogodzinym wiosłowaniu przyjemność już jest minimalna. Jednak zmuszeni jesteśmy przybyć do Nowych Świącian.

Wieczór ciemny, wodna droga przed nami prawie niewidoczna. Perspektywa wjechania na jakiś pal podwodny jest wcale przyjemna. Cisza w powietrzu zupełna, bezgłośnie przelatują nad nami jakieś nocne ptaki. Plusk wody staje się niebywale głośny. W pewnym miejscu podejżdżamy pod górę, na której płonie ognisko i kręcą się ciemne sylwetki. Dostrzegamy namiot i wciągnięte na brzeg kajaki. W zupełnej ciszy podpływamy kilkaset metrów dalej pod jakiś obóz harcerski. Na brzegu zaczynają migotać zapalone latarki. Znikamy szybko tak, jak się pojawili. W pewnym momencie coś, jakiś ciemny płat, zaczyna czernieć na wodzie wśród gęstniejącego mroku. Trudno jest w pierwszej chwili zorientować się — lecz w następnej omal nie wjeżdżamy na tratwy. Nagłe pchnięcie wiosłem ratuje nas od przykrego zetknięcia. W tej samej chwili czuję, że coś równie zimnego, jak śliskiego

poczyna pełznąć mi po kolanie. Żaba — pasażerka na gapę, która na postoju w Kołtynianach wskoczyła do skrytki dziobowej i po miłej drzemce wylażała ujrzyć światło dzienne (a raczej ciemność nocną). Momentalnie idzie za burtę. Plusk — i niech sobie biedaczka sama radzi jak umie!

Przed nami majaczą znane kontury mostu. Przybywamy do Nowych Świącian.

* * *

Nazajutrz pogoda jest równie piękna.

Z «Expressem Wileńskim» w ręku dążę nad Żejmianę. Zaczynamy drugi dzień spływu.

Na Wileńszczyźnie, jak i gdzie indziej zawsze czytam miejscowe gazety, żeby lepiej orientować się w nastrojach, sprawach i troskach danej okolicy. Nic nie szkodzi, że «Express Wileński» z wyjątkiem ostatniej strony jest całkowicie drukowany w Warszawie w Domu Prasy. Z Warszawy cały nakład (z jedną białą stroną) wysyłają do Wilna, gdzie właśnie ową białą stronę zadrukowują szybko wiadomościami wyłącznie miejscowymi, w rodzaju: «Kto strzelał na Karolinkach», «Robotnice w morderczej pętli», nie mówiąc już o stałej rubryce (którą znajdziemy w każdej niemal gazecie) zatytułowanej: «Wypadki, niedole, przestępstwa». Poza tym na tej ostatniej stronie jest sporo reklam i ogłoszeń, repertuar kinowy i radiowy, kalendarz, kronika historyczna, przysłowia ludowe, «ciekawe wiadomości» w rodzaju: «Buk pozostaje zielony w Danii 4 a na Maderze 8 miesięcy» i inne «złote myśli».

Co innego inny organ wileński — «Słowo».

On ma przynajmniej pewne sobie właściwe zabarwienie. Lubię gazety o zdecydowanych zapatrywaniach. Można w nich znaleźć ciekawe artykuły polemiczne, polegające na wytykaniu błędów i nieścisłości przeciwnikom politycznym, jak również pewne fakty przedstawione w zupełnie swoistym świetle. Nie raz czytelnik się zdziwi, że to światło tak zmienia cały istotny sens rzeczy — jeżeli w ogóle możemy mówić o takowym. Wszyscy są jednakowo bliscy, jak dalecy «prawdy» rozumianej na swój sposób.

Jak na lekturę kajakową «Słowo» mimo wszystko jest za poważne. Czytam więc tylko suche informacje w «Expressie Wileńskim», że Polska usuwa stałą delegację w Lidze Narodów; a przede wszystkim ciekawe i nieraz dowcipne «Co w trawie piszczy», zbyt długiego «Wilczura» (wtedy jednak był naprawdę niezwykle plastyczny i fascynujący opis operacji Dobranieckiego) i przeglądłam beznadziejną lecz o szumnym tytule «Walkę o życie na szalach sprawiedliwości» niejakiego Dr Kajota — jedną z licznych «powieści obyczajowych» o zna-



Władysławowo — nowy port rybacki na Helu.

nej wartości, którymi lubuje się «Czerwona Prasa» i którymi karmi liczne, niestety, rzesze czytelników.

Dnia tego wolno posuwamy się naprzód.

Upał jest ogromny, obiad wysmienity, kąpiele rozkoszne, a spływanie bez wiosłowania i opalanie się z wyciągniętymi nogami jeszcze przyjemniejsze. Wynikiem tego wszystkiego jest fakt, że już dobrze popołudniu, a do połowy drogi daleko. Lecz płyniemy przez cudowne miejsce i nie sposób oprzeć się nowej pokusie. Bezludzie (w pobliżu poligon). Gęsty sosnowy las — malownicze zielone polany schodzą aż do wody. Przy brzegu tratwy zbite z grubych olchowych pni. Rzeka w tym miejscu głęboka, a woda tak przejrzysta, że widać piasek na dnie.

Ostry prąd. I cienie od drzew na wodzie. Pod brzegiem nurt jest ciemny, a pełen blasków na środku. Robimy zdjęcia i kąpiemy się bez końca...

Jak i dnia poprzedniego płyniemy późnym wieczorem. Lecz tu w okolicach Podbrodzia koło Bojareli droga wodna zupełnie dla nas nieznana, a dno usiane zdradzieckimi kamieniami, nieraz na pół metra wystającymi z wody. W dodatku ciemność coraz większa. Jedziemy jakoś szczęśliwie. Krótka kilkunasto-minutowa praktyka uczy nas jedyne go sposobu uniknięcia «katastrofy» — rozprucia «łazika» o jakiś ostry kamień: przestajemy wiosłować zupełnie — jedynie nadśłuchujemy. Szum jest aż nazbyt wymowny. A poza tym nic. Tylko czasem błysk wirującej wokół kamieni wody. Chwilami wyczuwamy kilka takich «raf podwodnych» w jednym miejscu. Wtedy trzeba jechać na los szczęścia. Udać się jakoś zawsze. W dzień ta jazda nie sprawiałaby żadnej trudności — lecz obecnie, gdy nic nie widać, gorzej. Wreszcie już w Podbrodziu w żaden sposób nie możemy wylądować, bo przy każdej próbie siadamy na kamienistej mieliźnie. W końcu koło 9-ej dotykam stopą lądu i rozpoczynam poszukiwania noclegu. (Nocujemy we «wspañym hotelu» p. Nachamy Blic).

Okolo pierwszej w nocy budzą nas krzyki i gwałtowne dobijanie się do drzwi hotelu. To wesola banda kajakowców (dowiadujemy się o tym nazajutrz) wydaje dzikie okrzyki — co jest wyrazem ich niezadowolenia — gdyż wszystkie (dwa) numery w hotelu są zajęte.

* * *

Dopędzamy tę paczkę nocnych awanturników nazajutrz na dziewiątym kilometrze za Podbrodziem. Są w usposobieniu melancholijnym, gdyż wypłynęli po piątej rano po całonocnym daremnym poszukiwaniu noclegu. Jednak to nie umniejsza ich energii w bawieniu nas.

Jeden niewysoki, tłuſtawy jegomość mający niby 28 lat, a wyglądający o dziesięć lat starzej, opowiada dziwy o swoich ucieczkach z domu, podróżach, naturalnie o Legii Cudzoziemskiej. Żeby chociaż lepiej umiał bujać! Jego towarzysza jest również niewiadomej kondycji i przynależności społecznej, a o drugiej parze nawet mówić nie warto. Jest to tego rodzaju towarzystwo, z którym można wesoło rozmawiać przez pół godziny — po godzinie nuży, a po dwu szuka się okazji, żeby czym prędzej im umknąć. Tak też i czynimy.

W południe wypływamy z Żejmiany na szerokie wody Willii.

Już przed wieczorem jesteśmy w Niemenczynie. Miasteczko zastraszająco brudne i nieміte. Odrapane ściany, walące się rudery, brzydkie szylidy, cuchnące rynsztoki, szkielety zabiedzonych kotów, co krok przekradających się przez jezdnie i tumany kurzu wdzierającego się do oczu, nosa, gardła.

Idę właśnie główną ulicą. Uwagę moją zwraca pęczniący tłum przed jednym z domów. Po chwili ukazuje się kondukt, a za nim wali ów tłum. Idzie przed karawanem, po bokach chodnikami, z tyłu. Jest podniecony, powiedziałbym na swój sposób rozbawiony, żadny sensacji. Nie brak tu nikogo z niemeczyńskiej socjety. Nie mówiąc o starozakonnej rodzinie zmarłego i bliższych, lub dalszych krewnych, co już stanowi 50% miasteczka — są całe masy aryjskich kumoszek, ulicznych łobuzów, dzieciaków i czułych par.

Oczywistym jest, że pogrzeb w Niemenczynie ma niezwykle atrakcyjne właściwości w pojęciu jego mieszkańców.

Taki pogrzeb, jak i każdy nieszczęśliwy wypadek stanowią atrakcję — przyspieszają leniwy małomiasteczkowy żywot.

(Nie tylko małomiasteczkowy niestety i nie tylko w Niemenczynie!).

Niedawno czytałem w Merkuryuszu:

« Osobliwa jakaś nekromania cechuje nasz naród. Nic nie porusza tak opinii publicznej w Polsce, jak balsamowanie zwłok, przewożenie i grzebanie dostojnych nieboszczyków. Karawan, trumna, cmentarz, szarfy żałobne, wieńce kwieciste, śpiewy pogrzebne, oto co przyspiesza u nas słabe tętno życia narodowego. » Dużo w tym prawdy. Ilustracją jest mały obrazek z Niemenczyna, a jaskrawym przykładem ostatnia dyskusja na łamach « Wiadomości Literackich » nad tajemnicą Wołczyńna.

* * *

Czwartego dnia ujrzelśmy czerwieniejącą kopułę kościoła św. Piotra i Pawła w Wilnie. Wilia była tu inna, niż w górze — uregulowana, prawie jednostajna, podmiejska. I myśli inne niż tam z początku.

Dobijamy do przystani Wil. K. S.

Już po sptywie.



Sandomierz.



Gdańsk.

«Wujcio z Ameryki, czyli dzieje jednego płaszcza».

Niestety, ale świat już jest taki, że wszystko co ziemskie posiada swój koniec. I choć nic w przyrodzie nie ginie (w tłoku odwrotnie, bardzo często), dochodzimy do wniosku, że każdy przedmiot, czy też osoba mają po prostu mówiąc — koniec.

W domu rumor. Wujcio wraca z Ameryki. Wujcio — milioner, którego nigdy na oczy nie widziałem. Ale co tam wujcio? Grunt, że milioner. Ciekaw jestem, co mi przywiezie? Marzyłem o samochodzie. No przecież w Ameryce każdy bezrobotny ma samochód. A wujcio przecież milioner. Podobno miał tam w Ameryce jakieś zakłady, czy fabryki. Mama mawiała — «dorobił się pracą własnych rąk». A był rzeczywiście tak zapracowany, że zawsze ile razy pisał «zapomniał» nakleić znaczek na liście. Przez to go nienawidziłem. Byłem bowiem zapalonym filatelistą.

Wreszcie przyjechał. Nie poszedłem na dworzec, bo «łało» od rana. Z początku nie wiedziałem zupełnie, który to jest wujek, bo zwała się do nas cała hurma jakichś tam wujków, których w ogóle pierwszy raz na oczy widziałem, a którzy mnie ściskali i całowali. Prawdziwego wujka — milionera poznałem dopiero po spodniach w kratkę i po pantoflach tenisowych (był listopad). Zbliżył się do mnie, stuknął mnie trzy razy w łopatkę i powiedział do mamy — «Aha — to jest twój bobby! Okey» Potem chciał mnie poczęstować cygarami, na co mama żywo zaprotestowała (miałem wtedy dziewięć lat). Ale z kobietami to tak zawsze — niepotrzebnie się wtrącają.

Potem przyjęcie. Przemowy. Toasty. Ja wymknąłem się do przedpokoju. Na wieszaku wśród mnóstwa innych płaszczy wisiał olbrzymi płaszcz zielony. Odrazu poznałem. Oczywiście amerykański płaszcz wujka. W kącie zaś stał w spluwacze wielkich rozmiarów parasol i o dziwo — w kratkę. Tak w taką samą kratkę, co i spodnie. To też wujkowy. Następnie udałem się do pokoju, który miał zajmować wujcio. Tam stały dwie duże walizy, a na nich leżał podróżny pled... w tym miejscu zakląłem jak węglarz... pled był w kratkę. I to w taką samą, jak spodnie i parasol wujka.

Minęły trzy dni. Wujek zwiedzał Warszawę. Wybierał się w podróż po kraju, ale jakoś samochodu nie było widać. Nic nie mówiłem, bo po pierwsze pewnie na kolei, na bagażu zatrzymali, a po drugie «byłem dobrze wychowany» jak mówiła moja babcia. Ale się wreszcie zdenerwowałem i zapytałem wujka wręcz, prosto z mostu, że «co to? wujcio z Ameryki, milioner i bez prezentu dla siostrzeńca?». Mama ręce załamała i coś powiedziała prawie przez łzy. A wujcio wziął mnie za rękę, zaprowadził do przedpokoju, zdjął z wieszaka swój zielony płaszcz i wręczywszy mi go, powiedział: Ja, twój wujek, daję ci ten płaszcz zamiast prezentu z Ameryki, o którym zupełnie zapomniał! Okey!». Ale ja nie dałem się nabrać. Co? — zamiast samochodu płaszcz? Nie ma tak dobrze. I w ogóle ten wujcio to chyba miał nie bardzo... Gdzie na mnie taki płaszcz? Ale mama kazała wujciowi ładnie podziękować i powiedziała, że się dla mnie przeobrazi bardzo ładny płaszczyk, że to świetny materiał amerykański i że w ogóle jestem niegrzeczny. Trudno! Podałem się. Ale i tak wiedziałem, że wszyscy u nas powariowali; nawet służąca mówiła po angielsku i gotowała amerykańskie obiady.

Jeszcze tej samej zimy, której ofiarował mi wujcio płaszcz, paradowałem w nim codziennie do szkoły. Z tego powodu przewano mnie «amerykanem». Na wiosnę przesypano płaszcz naftaliny i wsunięto do tapczanu. Ale właśnie w tym tapczanie znalazła mama resztę płótna z wielkiego płaszcza wujka. Zrobili mi spodnie. Wyglądałem teraz jak oficer w stanie spoczynku.

Minęło kilka lat. Pomimo największych wysiłków z mojej strony płaszcz i spodnie trzymały się świetnie. Ale wreszcie przyszedł koniec. Ubiór mój stracił barwę, był trochę wytarty. Jednak każdy materiał ma przecież dwie strony. Oddano do przeniebowania. Na drugi dzień przyszedł krawiec z płaszczem, że nie można go już przeniebować, ponieważ materiał nie ma trzeciej strony, czyli że już raz był nicowany. (Tu przypomniał mi się hojny wujek). Triumfowałem, ale krótko. Istniały przecież farbiarnie. Zdałem właśnie do gimnazjum i rada rodzinna, z babcią na czele, uchwiliła oddać płaszcz do «farby». Tak się też stało. Z początku byłem zadowolony; granatowy płaszcz, świecące guziki, tarcza. I wszystko byłoby dobrze, aż tu przychodzi depeza, że wujcio umarł (zamieszkał na stałe w Poznaniu). A mnie przyszło coś do głowy, że wujcio będzie mnie straszył za ten swój płaszcz. Tak się zląkłem, że wracając ze szkoły zostawiłem naumyślnie mój granatowy płaszcz w tramwaju. W ostatniej chwili, żeby zatrzeć ślady, odprułem tarczę.

Nic nie pomogło. W kieszeni zostawiłem legitymację szkolną. Na drugi dzień znów paradowałem w płaszczu.

Ale wszystko ma swój koniec. Znalazłem sposób. Po prostu wyrośłem z płaszcza, był za mały. Przedtem odkładano mi co roku mniej więcej po dziesięć cm. i dół i rękawy. Teraz nie było z czego podłużyć, bo spodnie moje zużytkowała babcia. Z lewej nogawki uszyła sobie bambosze, z prawej dżemperék dla swego Bimbusia, a częścią tączącą oba te «bieguny» froteruje się codzień podłogi.

P. S. Z płaszcza skonstruował ogrodnik pierwszorzędnego stracha na wróble.

Jerzy Rybiński.

Sukienka

Nie miały baby kłopotu, musiały sobie wybrać obóz na górze, jak ściana. Nic dziwnego, że teraz całej trójce serce pika. Po takim błocie i to w nocy. Już jestem zły na siebie, że włożyłem kolce na nogi. Z każdego spotkanego kamyka wykrzesalem parę iskier. Że też wartowniczkі nie zauważyły. Ciekawe, co one jutro powiedzą? Bo ja czuję się dość głupio. Podejść harcerki to nie taka prosta rzecz. Primo: każdy harcerz śpi na warcie, sekundo: spotkanego rżnie się w zęby. A co zrobić z druhną? Napewno nie śpi, a jak na nas wylezie to i tak nikt jej nie będzie chciał nokautować. Zresztą, miejmy nadzieję, że zostawimy po sobie znaki niedostrzeżenia. Nie trzeba się załamywać psychicznie. Za Mahatmą czołgam się do namiotu. Wyciąga pastę do butów i zabiera się do malowania «szkicu węglem» na płótnie. Ciekawe, co robi Dydek? Odwracam głowę... rany boskie! jest wartowniczką, Chwała Bogu unieszkodliwiona. Dydek lamparcim skokiem jest przy niej. Złapał za usta — narazie cisza! Teraz kolej na mnie. Najlepiej byłoby ją porwać, ale najpierw kneblowanie. Choroba, wszystko na nic. Dydek widać nie wytrzymał i już nasza drużna drze się, jak stare prześcieradło. Niestety, załamujemy się. Ten krzyk fatalnie peszy. Chwila niezdecydowania, patrzymy na Jurka, ale ten już na dole. Wobec tego i nam nie zostaje nic innego. Ana-viva na dół, ale jeszcze ciągniemy naszą biedną lwowiankę za sobą, może ją stulniemy na dół. Ale to chyba z 5 pudów! Nie na nasze siły. Zostawiamy więc balast, zachowujący dziwną bierność i galopujemy w dół. O rany! Droga do obozu odcięta. Ktoś świeci reflektorem prosto w oczy. Pryskamy w drugą stronę. Po paruset metrach siadamy w rowie. Nikt nic nie mówi. Zdenerwowanie oczywiście. Ale nadzieja nas nie opuszcza, jeszcze dwu zostało pod drugim namiotem, może ci co zdziałają.

Po godzinie jesteśmy w obozie. Tamtych jeszcze nie ma. Może co dziająca. Nareszcie, o trzeciej są, już na kładce machają triumfalnie jakąś płachtą, podchodzimy i nie wierzymy własnym oczom: sukienka.

F. N. K.

Porządek musi być!

Nasza szkoła stoi pod znakiem porządku. Trzeba mieć dwie pary pantofli, książki i zeszyty obłożone w szary papier, a nawet (!) posiadać bibułę w dzienniczku. Ten ostatni, drobny na pozór szczegół objaśnia na jak wielką skalę będą odbywać się upamiętnienia «ważnych faktów». Porządek ten w naszej klasie dał się bardzo dotkliwie odczuć. Co dzień odgrywają się «krew w żyłach mrozące» tragedie. Oto jakiś uczeń stoi przed profesorem i prosi nawpół z płaczem:

— Panie profesorze już nie będę! Naprawdę nie będę, Panie profesorze!

Ale prawo nie zna litości i dzienniczek nieszczęsnego właściciela wzbogaca się o jedną notatkę więcej.

Takie sceny i wiele innych można widzieć każdego dnia w naszej klasie (!), o całej szkole lepiej nie mówić, bo i po co?

Dnia trzynastego (feralna trzynastka) na lekcji gimnastyki wielu uczniów poznało «gorzką prawdę życia». I to dzięki takim drobnostkom. Po prostu pozapominali koszulek, spodenek, pantofli, a nawet całych kostiumów gimnastycznych. Skutki były straszliwe. Wszyscy ci uczniowie (około piętnastu) złożyli w dani nie swoje dzienniczki. (Pan profesor miał wyjątkowo ciężką pracę). I to dopiero początek roku, a co będzie dalej? Trudno — będziemy cierpieć (zwłaszcza w domu), ale porządek musi być!

«Ofiara porządku» R. R. II b.

D. W. R.

Jako zwolennik podwieczorków przy mikrofonie zrobiłem propagandę wśród rodziny i kupiwszy uprzednio bilety pojechaliśmy na D.W.R. Przez rwące fale tłumy otaczającego YMC-ę przebrnąłem szczęśliwie dzięki wprawie nabytej na zakupach. W tym miejscu składam gorące podziękowanie patronom za wysiłki sprzyjające temu treningowi. Dostawszy się zatem na teren wystawy, tą samą metodą podążyłem do studio. Przy tej sposobności zgubiłem 5 członków rodziny. Szukałem. Wołałem. Nic. Jak kamień w wodę. Przebolawszy w cichości ducha stratę rodziny, (strata była tym boleśnieszka, ponieważ w pobliżu były

«Pingwiny») poszedłem znów w kierunku studia. Audycja już się zaczęła i z tego powodu drzwi były zamknięte. Tymczasem w kolumnie b. zwartej przybyła moja rodzina. Znalazł się przy tym jakiś pan z dyrekcji. Mniej ozdobnie mówiąc woźny. Obiecał nas zaprotegować i zniknął za drzwiami studio. Chwile czekania urozmaicali nam dwaj zwolennicy M.S. (nie mylić z Macierzą Szkolną). Ci pijani wskutek ruchu sinusoidalnego popchnęli jakąś paniusię, która wierząc widocznie, że język obcy robi na nich większe wrażenie, zaczęła narzekać.

Mon Dieu, quel wielki skandal.

Idąc za jej przykładem postanowiłem zareagować w razie czego łaciną. Na szczęście drzwi Sezamu się otworzyły, fala ludzka się ruszała, a ja jak na rydwanie tryumfalnym wjechałem na jakimś okazałym panu do studia. Tu powtórzyła się historia z koperkiem znana dobrze IV kl. Ładosz zaczął mówić unissono i w tym momencie dał się słyszeć głos Francuzki, klnącej całkiem poprawnie po polsku.

Ja po tym bezsprzecznie wielkim zwycięstwie spoczęłem nie tyle na laurach, ile na krzeselku.

Polskie Radio winne jest 1 guzik (słownie: jeden), który zgubiłem w tłoku; wbrew prawu, że nic nie ginie w naturze tylko w gotówce.

Jkswaryt.

DZIAŁ LITERACKI.

Na marginesie książki «Ślepe tory» H. Górskiej.

Ostatnia książka Górskiej p. t. «Ślepe tory» jest jedną z najciekawszych z typu t. zw. «książek społecznych». Autorka omawia wiele bardzo istotnych i poważnych dla naszego życia problemów. Jest tu omówienie celowości istnienia i pracy t. zn. opiekunów społecznych. Zawód ten polega na opiekowaniu się nędzą miejską. Autorka, jako przedstawicielka tego zawodu, opiekowała się pewną piwnicą, zamieszkałą przez siedem rodzin, z których życiem zapoznaje nas w pierwszej części swej książki. Górską starała się dla ludzi tych o pracę, pożywienie, ciepłą odzież, by dać im możliwość egzystencji chociaż w jak najprymitywniejszych warunkach. Niestety, ta chwilowa pomoc raczej demoralizowała ludzi, a życia ich nie zmieniała. Zostawało ono tak samo beznadziejne. I to bolało autorkę. Widziała ona bezcelowość swej pracy, ale zarazem nie mogła się od niej oderwać, gdyż wtedy czułaby się winna względem całej nędzy wielkomiejskiej. Była bezradna, gdy patrzyła na dzieci zżerane przez gruźlicę, lub gnijące w ciemnych i wil-

gotnych norach. Dzieci, które wyszły zwycięsko ze strasznej walki z życiem, załamywały się jako dorośli ludzie, spadając na same dno brudu moralnego. Górska, występująca w «Ślepych torach», jako Krystyna woła o pomoc, ale nie wierzy w jej skuteczność. Nie widzi żadnych radykalnych środków do zwalczania tego wszystkiego, co do się objąć słowem nędza. Nic więc dziwnego, iż książka taka nie daje nam nastroju optymistycznego, ale pobudza do wielu ciekawych dyskusji i rozmyślań.

Jan Lewandowski.

List do pewnego redaktora z racji jego zamiaru przeniesienia się na stałe do Wilna.

Wilno, w sierpniu 1938 r.

Kochany Antoni!

Żeby dobrze poznać miejsce Twego przyszłego pobytu, siedzę w tym Wilnie już przeszło tydzień.

Chodzę po uliczkach, zaułkach, kościołach, podziemiach, lochach, celi Konrada, muzeum Tow. Przyjaciół Nauk, po Pohulance, Antokolu i górze zamkowej — z przewodnikiem Kłosa w rękę.

Ale, przedstawiając Ci Wilno ze strony historycznych zabytków, z pewnością Ciebie nie zainteresuję, gdyż w myśl zasady, iż miasta w którym się mieszka wcale się nie zna (lub przynajmniej bardzo mało) — na pewno zwiedzaniem owego Wilna trudzić się nie będziesz.

Tą lichą czynność pozostawisz litość budzącym swym wyglądem rzeszom pielgrzymów i wycieczkowiczów, oraz pojedynczym turystom, ganiającym od świtu do nocy (a nieraz i dłużej) po wszystkich zakamarkach tego czcigodnego grodu, z aparatem w dłoni i głową nabitą wiadomościami, czerpanymi z czytanego przed każdym zabytkiem przewodnika.

Ty, jako prawowity przyszły mieszkaniec Wilna, wcale go znać nie będziesz, a na pytanie kuzyna, który przyjedzie do Ciebie w odwiedzinę i wyrazi szczerą chęć zobaczenia Wilna — odpowiesz: «Alboż to jest w tym Wilnie coś do oglądania?!» (Chyba wieczorem pójdziemy do «Lutni», a potem do «Palais de danse!»). Gdyż gros Wilnian tak właśnie sądzi, a i Ty, mam nadzieję, prędko przyzwyczaisz się do tego stanu rzeczy.

Dla Ciebie mam za to dużo innych praktyczniejszych bardziej życiowych wiadomości, wydobytych od wileńskich kuzynów na lodach w «Jugostawii».

Takie drobne «memento» dla wstępującego w wileńskie stosunekki.

Jako przyszły uczeń zakładu Zygmunta Augusta, choć numer będziesz miał duży, jednak wśród wszystkich wileńskich mało znaczący. Lelewel i Jezuici biją Ciebie na głowę. Ba... Jezuici!

Nie darmo wśród młodzieży wileńskiej krąży o nich jedno takie drastyczne powiedzonko, które z pewnych względów (cenzura!) wolę Ci powtórzyć przy spotkaniu.

Jezuici dzierżą w Wilnie prym we wszystkim. Stanowią trzon t.zw. złotej młodzieży.

Przodują na wszystkich wieczorkach, które często urządzają koleżanki od Orzeszkowej (wiedz, że w Wilnie na wszystkich wieczorkach, są zawsze «starsi»... i jak mnie informowano podczas tańców siedzą we wszystkich drzwiach salonu!). A więc Jezuici... najwięcej ich można spotkać w pogodne wiosenne dni na górze Trzykrzyskiej i tam na białych krzyżach odczytać pozostawione przez nich filozoficzne sentencje w rodzaju: «Tu wagarowali dnia... roku... ten... ten i ta... ta... (podpisy)» Wreszcie olbrzymie ich ilości (Jezuitów) spotyka się w niedziele po kościele w «Jugostawii» (która choć «zabroniona» stała się półoficjalnym uczniowskim «lokałem»), a w piękne popołudnie — na Mickiewicza — na popularnie zwanym «Jerku». Inteligentne koleżanki od Orzeszkowej bawią się z tego tytułu w następującą grę: idzie sobie taka panna i liczy Jezuitów — jeden... dwa... trzy... do stu; potem ociera się o trzy futra (foki lub karakuły — jest to obojętne w tym tajemniczym obrzędzie), — a pierwszego znajomego, który jej się ukloni, darzy odtąd specjalnie przyjaznymi względami (gdyż w opisany sposób wykonana «wróżba» wykazała, że to właśnie «ten»).

...Niewinne to i naiwne...

W ogóle stosunki są niemożliwe. Każdy Cię zna. A choć to niby duże miasto, jednak krążą o Tobie po mieście najfantastyczniejsze plotki. Niechno kto z «urzędowych sfer», czyli szkolnych, spotka Cię z kimś na spacerze od razu jakieś nieprzyjemne dochodzenia...

W porze lekcyjnej może Cię wylegitymować każdy policjant. Trzeba się mieć na baczności i na wagary obierać miejsca dalekie i bezpieczne.

Naprawdę, nigdybym nie sądził, że zupełnie swobodnie można się czuć tylko w dużym mieście!

(Choć słyszę, że i u nas w Warszawie coś ostro biorą się do wagarowiczów).

Nie chciałbym się znaleźć w Twojej skórze.

Mam jednak nadzieję, że na nowym gruncie mocno się postawisz i pokażesz prowincji wielkomiejskie obyczaje. Nie przygłuszą Cię Jezuici, gdyż Orzeszkowa już wie, że do drugiej licealnej do Augusta przyjedzie ktoś z Warszawy. Wrażenie będzie oczywiste!

Wreszcie oglądałem Twój przyszły budynek szkolny. Jest odrapany i niemiły — położony na wysokiej górze Bufallowej, na którą piąć się trzeba długo.

Radzę Ci więc, porzuć nie nazbyt udany projekt i póki czas, wracaj do naszej szkoły, której mury nie są tak odrapane — a od strony dziedzińca pomalowane na piękny biały kolor. (Doszły mnie wieści, że nawet położono nową posadzkę!).

Namysł się więc, Antoni, i prosto ze słonecznego Świdra wracaj do Warszawy.

Władek S.

We wrześniu ujrzałem Tośka w naszej szkole.

Zataił się widać chłopak psychicznie.

(Czyżby mój list tak podziałał?).

Pytałem go, ale mi nie chce powiedzieć.

Zawody lekkoatletyczne II-Lic. — I-Lic.

Zawody odbyły się w sobotę dn. 17. IX. 1938 r. Warunki meteorologiczne były dobre — czyli «pięknego słonecznego południa w parku szkolnym im. Sobieskiego itd.... wobec kilku-tysięcznych tłumów» (à propos tłumy: wobec b. wczesnego rozpoczęcia zawodów nikt prawie nie przyszedł).

Zawody rozpoczęto biegami.

Na 100 m. tryumfował St. Emich (II Lic.) osiągając piękny czas 12.0 sek. O dalsze miejsca rozegrała się zażarta walka, zwyciężył Rybiński 12.2 (I. Lic.) przed Danowskim (II Lic.) i Hulewiczem (I Lic.).

Ciekawy był również bieg na 800 m. Od startu poprowadził bieg Nowicki (I Lic.) nadając bardzo ostre tempo. (Czas na 400 m. 62 sek.).

Po pierwszym okrążeniu odpadł zupełnie Lewandowski (II Lic.), Nowicki słabnie. Dochodzi go Makowski, (I Lic.) mija, wyprzedza o 20 m i wpada pierwszy na metę, osiągając wspinały czas 2:16.2. Drugi Nowicki 2:21.1 trzeci Sobkowicz. Stan meczu 11:9.

W skoku wzwyż pierwszym jest Hulewicz, posiadający wspaniałe odbicie, przy słabym stylu, przed Emichem, który skakał t. zw. stylem Kalifornijskim. Trzeci, był Mistewicz przed Zambrowiczem. Posiadał on fenomenalne wprost szczęście, gdyż mimo kilkakrotnego trącania poprzeczki nie zrzucił jej ani razu.

W skoku wdał pierwszy Emich 5.38 m, drugi Nowicki 5.28. Trzecie miejsce zajął Makowski o 3 cm przed Lewandowskim.

W kuli bohaterem był Sikorski, wynikiem 10.95 m.

Łapał on odrzucaną mu 5 kg kulę w ręce jak zwykłą piłeczkę, wywołując tem «niezdrową» sensację na boisku.

Drugim był Rybiński 10.07 m następnie Mistewicz i Zambrowicz. Stan meczu 27:23 — dla I Lic.

W dysku zespół II Lic. jest bez konkurencji: Sikorski 34 m., Pleszczyński 30.65, Mistewicz 25.48, Hulewicz 23.89. Następuje wyrównanie 30:30.

Oszczep nie zmienia sytuacji. Nowicki odsadza się daleko od swych przeciwników mając rzut ponad 37 m., drugi Jaskiewicz 31 m. trzeci Sobkowicz, czwarty Rybiński. Stan 35:35.

O wyniku meczu decyduje sztafeta szwedzka 400×300×200×100. I Lic. w składzie: Makowski, Rybiński, Hulewicz i Nowicki, II Lic. Jaskiewicz, Płużański, Emich i Danowski (poza konkursem II Lic. Lewandowski, Kłosiewicz, Stankiewicz i Pleszczyński).

Start. Makowski rusza z miejsca w ostrym tempie. Rozpoczyna się zażarta walka z Jaskiewiczem, który nie wytrzymuje tak silnego tempa i po 300 m. słabnie. Makowski zdobywa kilkanaście metrów przewagi, pałeczki otrzymują Rybiński i Płużański. Rozpoczyna się pogoń lecz bez rezultatu. Rybiński gubi pantofel, mimo to jednak zarabia jeszcze parę metrów. Zwycięstwo I Lic. jest już pewne. Klasy II Lic. przed klęską nie uratuje już Emich mimo odrobienia na niewielkim odcinku 200 m. poważnej części straconego terenu. Rozpaczliwy finisz Danowskiego, zyskującego również kilka metrów nie zmienia faktu. Zwyciężyła sztafeta kl. I Lic. w czasie 2:24:9 przed II Lic. 2:27:4, wygrywając mecz 37:35.

Indywidualnie najwięcej punktów dla swych zespołów zdobyli Emich 11, Nowicki 10, Sikorski 8.

Ciekawy jest fakt, że z I Lic. startowało tylko 5 zawodników, gdy z II Lic. 11.

Głównym sędzią, który poprowadził te zawody sprawnie i szybko, był Z. Wojsa.

Na zakończenie trzeba dodać, że tego rodzaju impreza sportowa miała miejsce na terenie naszego gimnazjum po raz pierwszy od wielu lat. Miejmy nadzieję, że napewno wkrótce zorganizowany będzie mecz rewanżowy i że inne klasy gimnazjum pójdą za przykładem liceum i również zorganizują swe zawody.

J. K.

H U M O R

W związku z ostrą krytyką i poważnymi zarzutami z jakimi spotkał się nasz «Humor» w roku ubiegłym, postaraliśmy się o wynalezienie lepszego. Może to zaspokoi naszego krytyka, o ile nie, niech się nie krępuje i swobodnie znowu wypowie. Ze swej strony dziękujemy za dozę zainteresowania, które takowy okazał (przyp. red.).

WNIOSEK O MIESZKANIE.

Franciszek Kaczmarek.

«Do szanownego Magistratu».

Ja i moja żona jest nas razem ośmioro i mieszkamy co jest niepodobieństwem, a więc ja leżę w łóżku, a dzieci tj. 2 albo

3 w nogach i tak bez końca i ja paznokciem podrapałem buzię dziecka, to samo moja żona, która śpi też odwrotnie.

Nadmieniam, że śpimy razem i jak miejsca nie starczy to na podłozie.

Również nadmieniam, że te dzieci są zwłaszcza nieletnie i że mam reumatyzm, a ostatnie dziecko pół roku, a to wszystko z powodu wilgoci.

Podobnie nie mogę oświecić pokoju, bo bardzo dymi, a na ubikację formalnie nie można iść, bo jak pociągnę za drut, to mi woda górą leci zamiast dołem jak było przedtem i głowę mam mokrą czegobym Szan. Magistratu nie życzył. Proszę mnie odwiedzić i stwierdzić jakie tu wobec tego powietrze.

Nadmieniam, że w tym lokalu nie będę dalej mieszkał i proszę o odpowiedź odpowiednią, inaczej przestanę płacić i narobię wstydu z poważaniem

Franc. Kaczmarek.

WNIOSEK O MIESZKANIE.

Jakób Snopek.

« Do Magistratu ».

Jeżeli tak dalej pójdzie to dłużej nie wytrzymam, więc co mam robić. Te stosunki mi się nie podobają jak również to o czym mowa.

Już pewnie ze sto razy wnioski wysyłałem i sam osobiście oblepiałem, zapytuję czy to nic nie znaczy czy co!

Przedtem dodaję, że całą niemiecką wojnę robiłem, oraz dzieci do szkoły muszę posyłać, która była krwawa i na śmierć i życie, co Wielmożnemu Magistratowi zapewne jest wiadome, ale niewiadome jako ja nie mam dachu nad głową, ani nigdzie, prócz, że mieszkamy u krewności co ich mam dosyć, bo mi frechownie przychodzą, ani spać, ani co.

Więc muszę nadmienić, że jestem częściowo ranny i tak dalej, jak również byłbym pewnie zabity, ale wtedy już pojechałem na urlop do żony i innych krewnych, którzy mają a ja nie.

Jakób Snopek.

Wydawcy: Uczniowie Gimnazjum Im. T. Czackiego.

Redakcja: Władysław Stankiewicz kl. II liceum, i Jan Brumer kl. IV.

Komitet redakcyjny: J. Krzymuski kl. II liceum, J. Lewandowski kl. II liceum, A. Trzebiński kl. I liceum, A. Tyrawski kl. IV.

Administracja: Sz. Kaper kl. II liceum, B. Chodorowski kl. III.

Rękopisów nadesłanych do Redakcji nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji pisma: Warszawa, Kapucyńska 21.

Druk. Dz. Pr. W. Warszawa, Rakowiecka 37,

